



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie kwartalnie złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie półrocznie złp. 25, Koperta półrocznie rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

LUDGARD A.

OBRAZEK

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońska.

(Dokończenie).

IV.



Leon się skłonił — a wyraz szczęśliwości wewnętrznej mignął mu w oku.

— Niepodobna, bym sobie tak wielkiej przyjemności odmówił... Tylko, że Karol...

— Domyśli się, żeś gdzie w sąsiedztwo zabłądził.

Okrażyli staw — przebyli mostek — zmierzali ku bramie dziedzińca — a Leon ani wiedział co mówić, tak mu *jakoś głupio* było w umyśle.

Zastali damy w salonie, przy robótkach i książkach. Cecylja właśnie jakiś ustęp głośno czytać przestała.

Tymczasem pan Leon podniósł się na duchu, — i od razu ożywiona zawiązała się rozmowa.

Dzień upłynął — a Leon ani wiedział, jak? — To miał odjechać po obiedzie zaraz — i pozostał się. To znowu pod wieczór się wybierał — i został na herbatę, łajac siebie w duszy, że bez wszelkiego postępuje taktu — że to jest czyste parafianstwo! — Wreszcie późno już było, gdy do Nadolna powrócił.

Pan Karol chodził po dziedzińcu.

— Przecież wracasz, Leonie! — zawołał ujrzawszy go — a jam z obawy o ciebie już o mało spazmów nie dostał.

— Wybacz! Jeździłem tam i sam... i wreszcie zaniósł mnie twój *Jacek* do Krzewin, ani wiem jak?

Karol się uśmiechnął.

— Spotkał mnie pan Domirski i zaprosił do siebie.

— Szczęście dla mnie, że jeden z parobków widział, jak skrzyłeś od brzeziny na lewo....

Leon pokraśniał, jak burak.

— Inaczej, byłbym naprawdę podejrzewał, że wyćwiczony w różnych tam *hecach* zagranicznych, nad swojskim *Jackiem* zapanować nie umiałeś. Bylbym się lękał jakiego łamikarku... Już nawet wybierałem się na odszukanie ciebie, i ludzi chciałem rozesłać....

Leon się zaśmiał.

— Chwała Bogu, że tak się stało! Zabawiłeś się dobrze, a tutaj dziś szczególnie były nudy dla ciebie. Wróciłeś zdrów, ale... czy *cały*? to i wątpi o tem kościół Boży!

— Jakto?

— Tak też sobie mówię.... Możesz co zgubić?

— Nie.

— No... to i wyjawi się później.

— Cóż panie porabiają w Krzewinach?

— Zdrowe.

— Jakżeż tam *miss*?

— Brązowa zawsze.

— A śliczna panna Cecylja? grała, śpiewała...?

— Śpiewała.

— I gawędka była przyjemna?

— To wykształcona jest panna.

— Wiem o tem. I z *miss* bardzo zajmującą jest rozmowa!.... Ale, to już blisko dwunasta.... Dobra noc, mój ty kochany, błędny rycerzu!

— Dobra noc, Karolu! A wybacz mi, drogi!

— Oh! Oh! Gniady *Jacek* jest zawsze na rozkazy twoje, a nawet i czasem rozrządza moim.... gdy nie będę miał coś ważniejszego a pilnego na głowie. Życzę ci snów różanych, złocistych, niebiańskich, świetlanych!

— Dobra noc.

V.

W dniu ś. Franciszka, gdy pan Karol z Leonem na dziedziniec do Krzewin wjeżdżali, ujrzeli pod lipami, grono poważnych panów — pomiędzy temi gospodarza, pułkownika Staniewskiego i pana Ignacego Sulistowskiego.

Wyskoczyli z powozu i pospieszyli złożyć zacnemu solenizantowi, cześć swoją i życzenia.

Pułkownik ze szczerem wyrazem uściśnął Leona, dodając:

— A to niespodzianka dla mnie, że ciebie tu widzę, panie Leonie! Ucieszy się także Kamilla — i mignął jakiś niby żartu odcień w dobrodusznym uśmiechu sędziwego męża.

— Więc i panią Kamillę powitam! — zawołał Leon i pokraśniał, a na jego licu przemknął to niby wyraz lekkiej ironii, to jakby zaledwie dostrzeżony cień gniewu.

— Panie są w salonie i młodzież z niemi — wyrzekł gospodarz, i przybyli podażyli do dworu.

Na samym wstępie na pokoju powitała ich pani Kamilla, czyniąca dzisiaj honory gospodyni, uśmiechnięta, miłutka, lubo że i ona jakoś niby trochę zakłopotana, Leonowi rękę podała, — który nagle poważny przybrał wyraz. Obok niej *adjutantowała* Angielka, zawsze brązowa, lecz dzisiaj w ciężkich jedwabach.

Leon powiódł wzrokiem i ukłonem do koła — gdy w tem wysunęło się wdzięczne widzenie, w białym muszlinie, z wieńcem astrów w płowych włosach — niby złocistym przypraszonych pudrem. Wymysł wszelako na kieszeń elegantek, pudrów złotych, srebrnych i brylantowych i t. d., wówczas jeszcze nie istniał, bo przypominamy, że to się działo w r. 1859.

Powabne zjawienie z uśmiechem powitalnym wyciągnęło rączkę... do pana Karola Birowicza a potem i do niego.... i gdy dwóch dotknął się paluszków w bielutkiej rękawiczce, przeminął gniew wszelki, i wszelka w nastroju jego powaga. Uśmiech ustek różnych udzielił mu się od razu — białe zęby błysnęły poza ciemnym wąsikiem panicza.

Panna cofnęła się znowu do grona panien. Karol już był przy bogdance swojej — a pani Kamilla, przedstawiała kuzynka obecnym.

Po chwili więcej osób przybyło — i gwar wesół się rozległ.

— Kuzynku, chodź za mną do drugiego pokoju — poszepnęła Leonowi pani Kamilla, i wyszła.

Leon oczwieszcie pospieszył za nią.

— Siadaj! — wymówiła.

I zajęli miejsca w zacisznym kąciку, na nizkiej kanapie.

— Czy nie gniewasz się na mnie? — zapytała przełamując lody od razu, zajrzała mu w oczy z tak przyjaznym uśmiechem, z tak pocziwim wyrazem, i uściśnęła rękę jego w dłoniach obiedwóch!

Leon zapłonął niby gniewnie trochę.

— Powinienem się gniewać za te *mistyfikacje*... poszepnął coś tam ciszej, lecz można tylko było wyraz *embêté* dosłyszeć. Znać nie chciał wyrzec: *ogłupiony* — spuścił oczy, przybrał wyraz powagi, lecz wąsik jakoś powstrzymanym zadrgnął uśmiechem.

— Leonie! nie możesz się gniewać! Spójrz na mnie i uśmiechnij się! — prosiła kuzynka. Chodziło mi o dochód na szpital, na cel dobroczynny!.. a zarazem i o uleczenie ciebie z tej niezdolnej, fatalnej, niemądrej, zagranicznej choroby.... A jeszcze — dodała figlarnie — wszakże... czego pragnąłeś... — urwała — być może... — odehrząknęła — o, spojrzij na mnie i uśmiechnij się!

Pan Leon podniósł oczy — parsknął śmiechem — i pocałował ją w rękę.

— A więc zgoda?

— Zgoda niechaj będzie!

— Na zawsze, kuzynku, na zawsze! O, bo jesteś dobrym i nieoszaczanym, a wcale... nie *blasé*! — zaśmiała się, a kuzynek znowu pocałował ją w rękę.

— Teraz zaś winnam ci wszystko wyjaśnić, by na nikogo zarzut nie padł niesłusznie....

— Zawsze z kapitanem będę miał do czynienia — i mrocząc się, pokręcił wąsa, bo rad był kuzynce napędzić obawy.

— Na miłosierdzie Boże! — zawołała pani Kamilla, splatając dłonie. Zaklinam cię na miłosierdzie Boże, do nikogo nie miej żalu: jam tylko winna sama jedna!

— Jednakże... — i spuścił głowę.

— Leonku! — i ujęła rękę jego — Kuzynku drogi, kochany!... Zaklinam cię nie zarywaj z kapitanem!... Zaklinam cię... na to, co w tej chwili masz w myśli!

Leon uśmiechnął się niby.

— Przysięgam ci, że kapitan w niezem nie zawiśnił! Żem ja go do współudziału w tej całej *komedji* zmusiał!... Prosiłam, błagałam... i odmówić nie mogł. Przebac!

— No, już dobrze, dobrze!

— Nie masz urazy do niego.

— Nie, nie, już nie!

— To więc zgoda i z nim! — i uściśnęła obiedwie ręce kuzynka.

— A teraz opowiadaj dalej.

— Pomyśl tej całej *mistyfikacji* w mojej powstał głowie, lecz dopomagała mi Karolina i rada wspierała swoją. Cecylja uproszona, *ublagana*, by na korzyść poświęciła się biednych kalek i chorych, podjęła się wskazanęj roli, i na dzień jeden ze swoją *miss* do Rusielska zjechała. Było nowych potrzeba przedstawień i próśb, bo biedne dziewczę straciło odwagę... i ujrzała ją w kniei, a potem w oknie. Ukryłam ją wraz z Angielką w moim pokoju, a wieczorem odjechały do Krzewin. W ogrodzie i na korytarzu widziałem moją pannę służącą, w sukniach Cesi, będącą jej wzrostu. Szelest sukni jedwabnej pochodził z poza drzwi małych, zastawionych szafą, obok twojego łóżka, któreśmy otwierały z Karoliną i mantynami szeleściły do woli. Cecylja myślała, że ciebie może nie zobaczy nigdy, albo też jeżeli cię spotka kiedy, sprawa Rusielska w części zapomniana będzie i nie poznasz jej wcale, inaczej nie byłaby odgrywała *Ludgardy*! To też, gdy jej ciebie przedstawiono, o mało że biedna nie zemdląca. Znać ciebie tu licho przyniosło, i tak zaraz, kuzynku.... licho, jeżeli nie opatrność! — dodała ciszej.

Leon usta przygryzł i wąsa pokręcił.

— Anim wiedziała, że tutaj masz znajomego, przyjaciela!... Pana Domirskiego, jak ci wiadomo, w domu wtedy nie było — ciągnęła dalej Kamilla — o niczem wtedy wiedział i dotąd nie wie, bo i gniewałby się

— Pewnie... Wujaszcowi opowiedzieliśmy wszystko, ale dopiero w dniu ostatnim twojego pobytu w Rusielsku... trochę nam pogroził, trochę głową pokreślił, nie smakował w tej całej komedji, a potem, dla ostrzeżenia opowiedział wieczorem ów wypadek o dwóch starych wojskowych, umówiwszy się wprzód ze mną.

— A historia Ludgardy?

— Całkiem zmyślona!

— I przez kogo?

— *Mea culpa!* uderzyła się w piersi Kamilla.

— I kto też jeszcze do tej całej *mystyfikacji* należał?

— Głównie Karolina, to jest po mnie zaraz. Żyłko Ignas, pani Chrzastowiczowa, pani Marszewska, Miliżewski, panny....

— Więc niemal wszyscy! I nie mamże się gniewać?

— Och, nie! Nie, nie! — i ujęła rękę jego — raczej mi podziękuj! — dodała z jakimś szczególnym wyrazem, a Leon rozśmiał się także *szczególnie jakoś*.

— A ów obraz Ludgardy? zapytał znowu.

— Jest po prostu portretem Cesi, zrobionym dla dziadka, przez dobrego portrecistę z Warszawy.

— Oj, oj! I panny służące i lokaje.... wszyscy mnie *mystyfikowali!*

— Wybacz! Daruj! Wiedzieli, że to jest żart, który szpitalowi korzyść ma przynieść. A, kuzynku, dowiodłeś, że tchórzem nie jesteś i gonileś za duchem i nie ustraszyłeś się wcale!

— Zawsze to ośmieszasz trochę.

— Uchowaj Boże! Wyszedłeś bohatercko z tej sprawy, chociaż nie zwycięsko.... a myślę, że i szczęśliwie — i uśmiechnęła się znacząco, spuszczaając oczy.

Pan Leon odchrząknął.

— Teraz zaś, Leonku, proszę i zaklinam ciebie: nie ambarasuj mi Cesi! Biedne dziewczę zniepokojone, zmartwione nawet, wstydzi się.... twierdzi, że oczów ne ciebie podnieść nie śmie.

— Hm, hm! — Leon powiedział sobie w duszy i że je podniosła wszelako, że w nie zajrzał.... a zajrzał, że już wejrzenia tego i zapomnieć nie podała.

— Wyrzuca sobie... że łzą w oku mówiła mi o tém.

— O, i powinna sobie wyrzucać!

— Biedne dziecko!.... Bądź względny, kuzynku, grzecznym, *cacany!* Proszę i zaklinam cię, byś biednej Cesi ani wspomniał słówkiem jednym o Rusielsku i Ludgardzie.... zawstydziłbyś ją!... Proszę cię, Leonku!

— Za cóż mnie masz? Człowiek honoru, zna poszanowanie dla kobiet i *nigdy* nie ubliży żadnej!

— Słuchaj, mój Leonku! Chciałabym cię uściskać.

Leon podał jej rękę.

— Już więc wszystko jest wyjaśnione i zgodzone.

— Wszystko!

— To i wracajmyż do towarzystwa.

Weszli do salonu, gdzie właśnie uproszona Cecylja *Kasiulenkę* śpiewać zaczęła.

Leon usiadł na uboczu — wsparł dłonią czoło — i słuchał.

Gdy następnie o zmierzchu na dworze — a przy jasnym świetle w pokojach, rozpoczęły się tańce, boć to najzwyczajniejsza a najpożądniejsza zabawa jest dla młodych, przy której i starsi zabawią się także, ochotę w około a wspomnieniem dawnem aż odmłodnieją ni-

hy — na dużej sali pan Leon z panną Cecyliją mazurę rozpoczął: on, który zwykle nie tańczył — tańczył nie lubił — i z ironią o tańcu i tańczących mówił!

— Ignasiu, czy widzisz i uważasz? — poszepnęła Kamilla mężowi, uśmiechnięta wesoło, zasłaniając się wachlarzem.

— Widzę i uważam — odrzekł pan Ignacy, pokręcając węża.

— Leon dziś *blasé* nie jest bynajmniej!

— Bo zapomniał o sobie, gdy mu *coś* innego zajęchało w głowę... a może i w serce.

— Tom ja zbudowała!

— Bo i czegożby nie zbudowała kobieta, gdy zechce! — wyrzekł małżonek z dobroduszną ironią — gdy się uweźmie!

Pani Kamilla uderzyła go z lekką bukiem.

I miał słusznosc pan Ignacy, że Leon *zapomniał o sobie, bo mu coś innego zajęchało w głowę... a może i w serce*: jemu w tej chwili całe niebo w modrem oku Cesi jaśniało — a w sercu uroczą, cudna zakwitła wiosna.

Po kontredansie usiadła Cecylja, tańcem znużona, przy marmurowym słupie, na którym umieszczono popiersie Ignacego Potockiego. Pan Leon wsparł się łokciem o słupek i pochyłony ku pannie jakąś nader zajmującą i ożywioną prowadził rozmowę. Zajmującą, bo uważano, że nie ustawała wcale; ożywioną, bo śmieli się oboje wesoło.

Któs z boku byłby mógł dosłyszeć wyrazy: „*Kapitan... Ludgarda.... czarny kapelusik z białem piórem... szelest sukni jedwabnej... długi korytarz...*“ — a pani Kamilla byłaby się domyśliła, że kuzynkę jej zakłęcia nie posłuchał... i prawić z Cesią o wszystkim, cokolwiek zaszło w Rusielsku. Nie byłaby się tem jednakże zmartwiła — bo i jakież to musiało być dobre porozumienie, skoro ową *mystyfikacją* Rusielską z taką traktowali swobodą i wesołością.

W tydzień potem odebrała pani Karolina list następujący:

„Moja Karolko!

Nasze *mystyfikowanie* Leona powiodło się ponad wszelkie spodziewanie!... Mniejsza o to, że mi nadesłał owe 2,000 złp., jako słusznie przegrane, i z których ucieszyliśmy się niemało i pośmiały nawet. Ale, ażeby nasza *duchomania* Rusielska taki obrót wzięła... o tem z nas wszystkich ani zaśniło się komu! I powtórzę tutaj z panią *de Seigné* jak w owym sławnym liście do córki, gdy jej donosiła o zaślubinach panny *de Montpensier* z *Larzun*em: Donoszę ci o rzeczy najciekawszej, najpociesznijszej, najpożądniejszej, najszczęśliwszej, nadspodziewanej, *la plus triomphante!*.. że nasz bohater, nasz młodzieniec *blasé*... jest zakochany po uszy i po oświadczeniach z Cesią!... Widzę oczyma duszy, jak kłaśniesz w dłonie, a oczy Twoje radośnym błysną promieniem! — Zaintrygował i zaciekawił go duch *Ludgardy* — rozmarzyła go jej piękność dziewczęca.... w tem rozmarzeniu zobaczył Cesię — i stał się innym!... Od razu, powtarzam; *od razu* zakochał się w pannie — umiał się podobać — ojciec i dziadek nie przeciwko temu nie mieli — a jam dolewała oliwy do tego ognia, jak się łatwo domyślisz.

Otóż i pożądane zakończenie romantycznej powieści o ukazywaniu się ducha pięknej, zamordowanej *Ludgardy!*

Jestem wszelako pewna, że gdyby Leon był Cesie w zwyczajny, w powszedni zobaczył sposób, gdyby ją był spotkał w Rusielsku albo też umnie, na prostej zupełnie drodze, byłoby to widzenie przemineło bez wrażenia: nie byłby się w niej tych wdzięków dopatrzył, które go dziś czarują — i byłby pewnie *znużonym* pozostał. *Mystyfikacja* Rusielska, a potem nagłe ujrzenie Cesi, dodały jej onego uroku, który go z jego nieznośnej *blazerji* uleczył. Potrzeba mu zawsze było *nadzwyczajności* jakiegś. Wszakżeż Cesia nie ma tych warunków, o których tylokrotnie mówił: nie jest tak nieporównanie *piękną*, ani też *doskanale brzydką*, a jednakże zakochał się na umór. Odegrał swoją rolę i... *finita la comedia!*

Ale, z tem wszystkiem, Karolciu, wielką położyłyśmy zasługę, bo Leon stał się odtąd całkiem innym człowiekiem; teraz żyje dopiero, bo cel życia znalazł; pragnie uszczęśliwiać, bo sam poznał szczęście; chce pracować, bo pokochał — i ma dla kogo pracować!

Takięj przemiany życzę z całej duszy tym wszystkim, którzy podobnej jak on, podlegają chorobie. *Amen!*

Twoja Kamilla.

Kronika zagraniczna.



Odtąd zajmowaliśmy się przeważnie poglądami na francuzkie i niemieckie piśmiennictwo; nie od rzeczy więc będzie obejrzeć się po niwie literatury angielskiej, ile że szczęśliwa ku temu nadarza się sposobność. Wyszły bowiem na jaw ostatnie dwa tomy dzieł Szekspira, wytlomaczone na język francuzki przez Franciszka Wiktora Hugona (syna). Tak więc dzieło pomnikowe, któremu Franciszek Hugo kilka lat poświęcił, doprowadzonym zostało do końca. Dotąd z cudzoziemców Niemcy jedynie pochlubić się mogli posiadaniem wszystkich utworów Szekspira w wybornych tłomaczeniach i naród ten rzeczywiście ogromne położył zasługi nie tylko około rozwoju dramatycznych idei szekspirowskich, lecz i około wyświecenia stanowiska Szekspira w dziejach sztuki dramatycznej; i jak kiedyś Hendel, rodem i charakterem Niemiec, przeszedł na wyłączną własność narodu angielskiego, jak jego kompozycje acz niemieckie duchem i pieśnią, żyją dzisiaj w uściech i pamięci Anglików: tak Niemcy przyswoili sobie Szekspira, oni pierwsi wskazali drogę do jego geniuszu, oni pierwsi przez pracę i miłość zrozumieli i rozjaśnili jego ideje, oni go światu przekazali, i Niemcom jedynie należy się zasługa sumiennej i krytycznej oceny wszystkich dzieł poety angielskiego.

Późno trochę spostrzegła się Francja, że dług jej w obec Szekspira jeszcze nie spłacony, że arena do odzwyczajania się stoi otworem. Franciszek Hugo

stanął pierwszy z młodzieńczą siłą, z zapasem szczerej woli i żelaznej pracy na czele młodych koryfeuszów, których celem jest nadać piśmiennictwu francuzkiemu kierunek bardziej kosmopolityczny, szerszy i ogólniejszy, i przeciąć raz na zawsze żyłę tej ślepej, bezwzględnej dążności patrzenia się na wszystko przez szkło uprzedzenia, samolubstwa i samochwalstwa. Franciszek Hugo przełamał pierwsze lody, rozwinął sztandar postępu i pracy, i dał tem samem hasło do przestworniejszego patrzenia się na świat zaskawiański. Dzięki usiłowaniom Franciszka Hugona, Francuzi będą mogli poznać dobrze Szekspira, a mając go w wybornem tłomaczeniu, poznają wszystkie jego utwory niezmiennione, nieuszczerplone, poznają go w nieprzebranej, niespożytej różnorodności i całości wyborniej. Franciszek Hugo nie uląkł się ani na chwilę: rozkuł olbrzyma bez najmniejszego wahania się, i trafnie powiedziano, że tłomaczenie Hugona „jestto sam Szekspir bez kagańca.“

Sądzimy, że wzmianką nawet najobszerniejszą i często powtarzaną nikt się nie przesyci, skoro chodzi o bliższe zapoznanie się z mistrzem, którego dotąd żaden komentarz, żadna krytyka nie wyczerpnęła, zawsze znajdzie się nowy przedmiot, nowe myśli, nowe źródła bijące zarówno dla serc młodzieńczych, jak dla dojrzałych myślicieli. Powabna to i ujmująca chwila, sięgać myślą w wieki i istotę tego geniuszu. Myśli te poświęcamy zresztą mistrzowi, jakiego może żadne wieki i narody nie wydadzą, a w którym zadziwiające bogactwo umysłu, zdadność wrodzona, talent rodzimy, wpływ i ogrom działalności nigdzie jeszcze tak wielkimi nie były. Jakimi były czasy Szekspira? Jak się rozwinął jego dramatyczny geniusz? Jakie jest poczucie piękna w Szekspirze? Wreszcie jaką wartość i doniosłość ma Szekspir w tłomaczeniu francuzkiem Hugona? Na te wszystkie pytania odpowiemy w osobnych artykułach kroniki.

Rzadko zjawienie się olbrzymiego geniuszu odpowiada tak szczęśliwym warunkom bytu i umysłowego stanu narodu, jak w czasach Szekspira. Szeksprowi danem było żyć w epoce jedynego narodu angielskiego, która nie tylko w niczem nie była przeszkodą dla wielkiego poety, lecz pod względem miejscowych i narodowych okoliczności należy niezaprzeczenie do najświetniejszych chwil rozwoju i postępu oświaty. Wszystkie warunki, które potęgę czasu i geniuszu stanowią, znajdowały się przed Szekspirem i na okół niego, a rzecz to nader ważna, ile że geniusz bez takich danych czasu ani istnieć, ani wznieść się nie może: — najlepsze nawet ziarno potrzebuje koniecznie żyznej gleby. Anglia za czasów Elżbiety była główną i prawie jedyną spadkobierczynią skarbów nagromadzonych przez wiek XV i XVI. Porównyując umysłowe bogactwo owych czasów z dzisiejszem, jakżeż zimnem pustkowiem wydać się musi umysłowa arena dziewiętnastego wieku. Dzisiaj wszystko różnie, wybuja i szybko dojrzewa, nawet bez udziału wielkich ludzi, bez usilnej pracy i zdolności; dzisiaj kilka miernych rąk i sił skuwa się w martwą machinę pracy i wykonywa dzieła, których byt i wartość nie przeżywa chwili urodzenia. Żyjemy w świecie rozsypanych jednostek, w epoce rozpierzchtych talentów, w czasach gdzie płody wyobraźni i dzienniej pracy odznaczają się zaledwie piętnem mierności: zużycie umysłowe, nienaturalność myśli, zysk chleba powszed-

niego i sławy kilkogodzinnej, to są wahadła naszej epoki, to owoc umysłowej pracy kilku wieków! Jakżeż to inna jest postać czasów Szekspira. Ilekć geniuszu i pracy olbrzymiej potrzeba było naówczas, ażeby się wznieść na szczyt swęj epoki, zajaśnieć słońcem sławy i znakomitości, spocząc na wawrzynach po dniach ciężkiej i mozolnej pracy umysłowej, lub zostać wreszcie uwieńczonym gałązką zasługi i sławy... Świat ówczesny nie znał tych maluczkich sztuczek i sposobów, przy pomocy których zdobywa się dzisiaj bez trudu wielkie znaczenie, liczne stronnictwa, koterje i sekty, idące z wiarą mahometanina za słowem swego małego proroka.

Tam wymagano innych zasług, innych wynalazków i odkryć; tam trzeba było walczyć z dziecinną niesfornością wieku i upartym przesądem ludu, trzeba było być i geniuszem i nauczycielem, i mistrzem i prawodawcą swęj nauki. Dość jest spojrzeć na nieprzenikłą pomrokę średniowiecznych czasów, jak rozbita pod wpływem kilku promieni piętnastego i szesnastego stulecia odslania w jednej chwili jasny i promienny widnokrąg, potężne jednostki, genjusze, typy i zwiastuny świeżej idei i oświaty. Była to chwila w życiu ludów, gdzie niwa społecznej uprawy odżyła w jednej chwili: przerwany ruch ducha ludzkiego i historii zaczął się silnego ognia nowożytnych pojęć! Czasy przed i po-szekspirowskie — to wiek samych zdobywczy ducha i oświaty: Włochy odżyły światłem nauki starożytnęj; Niderlandy torują drogę humanizmowi i reformie szkolnej; Niemcy wydają Lutra; odważni żeglarze genueńscy i portugalscy odkrywają drogę do Indji i nowęj części świata; Karol V i Filip II łączą ogniem oświaty stary i nowy świat; Machiawelli stwarza zasady dziejowej polityki; Kopernik i Galileusz wnika w tajemnicę systemu niebieskiego; Włochy wydzierają Grecji monopol sztuk pięknych; Palestyna stwarza nową muzykę, Ariost poezję; Polska wydaje Wojciecha z Brudzewa i Grzegorza z Sanoka — jednym słowem, promienie nowęj oświaty zawiewają Europę jakby węzłem magicznym w jedną rzeczpospolitą nauki i pracy. Nigdy sfera pojęć w rozleglejsze nie wstąpiła zakresy. Rozprzestrzeniono świat, przebudowano go na nowo. Prawdziwe, nieklamane zamiłowanie do sztuki łamie oręż wojenny; nauka uwolniona z pod tłoczącego jarzma ciemnoty średniowiecznej wywraca wszystko, co było mierne i niedołężne.

W żadnej epoce tylu mężów historycznych nie stało razem u steru świata: Leon X, Karol V, Franciszek I, Zygmunt stary, Henryk VIII, Andrzej Doria, Soliman, Schah-Ismael, a po nich, Filip II, Wilhelm z Oranji, Zygmunt August, Elżbieta angielska.

Zjawiają się olbrzymie twory Kamoensów, Czerwantów, i w jednym prawie czasie wyswita plejada siedmiu największych mistrzów sztuki: Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael, Fra Bartholomeo, Corregio, Tycjan i Andrzej del Sarto. Jakże to rysy, jakie znamiona tych olbrzymich postaci! Odsłaniając nieco głębiej obraz, zobaczymy wprawdzie srogość wojen i niszczące zawichrzenia, wyuzdaną pychę i zbytki. Złoto staje się najwyższą potrzebą i koniecznością — alchemja szuka go w kamieniu filozoficznym, a oręż w Indjach. Przesąd miesza wyobrażenia religji, sprawiedliwości, pobożności. A jednak były to czasy najpomyślniejsze dla nauk i ludzkości, przedstawiające

ciekawy obraz zbudzonęj powszechnie czynności umysłowej, dzieła godne podziwiania, budujące przykłady pracy i nauki.

Takie to czasy przygotowały epokę wieku szesnastego — wieku Szekspira i najświetniejszęj epoki w Anglii. Ruch i skutki odrodzenia zogniskowały się naokół ówczesnej monarchini angielskiej Elżbiety; i kiedy we Włoszech, Niemczech, Francji i Polsce literatura z biegiem spraw państwa żadnego prawie nie miała związku, to w Anglii natomiast oświata z polityką, literatura ze zdobyczami wojennymi, szły nieprzerwanie ręką w rękę. Około Elżbiety żyli ludzie tacy jak filozof Bakon, poeta Spenser i Sidney, wódz i mistrz nauki Raleigh, mąż stanu Burleigh, dziejopisarz Camden, żeglarze Howard i Drake, pomijając tylę innych, niemniej wielkich postaci. Wśród nich staje postać Szekspira — mistrza-olbrzyma. On dopiero rozniecił wśród nich ognisko wspólnej działalności, on zapalił do współzawodnictwa, on dał podstawę ideom, uczuciom i prądom swego wieku. W chwili zjawienia się jego budzi się na dobre ruch i życie umysłowe. Ale bo życie ówczesne nie było tak mdłe i bezbarwne jak dzisiaj; świat się nie maskował: było tam życie prawdy i rzeczywistości. W czasach Szekspira istniała jeszcze przyroda z wszystkimi wdziękami, z siłą trzeźwą, rzutką, niespożywaną się zbyt łatwo i prędko. I tu spoczywa źródło wielkości szekspirowskiej. Szekspir nie szukał przedmiotu do poezji w zdruzgotanych i przebrzmiałych światach, nie psuł i nie naprawiał zasad religji, nie ubóstwiał obcych bogów sztuk i nauk. Szekspir ssął całą pierwszą soki ziemi rodzinnej. Ztąd siła i moc, twórczość i niespożytość jego poezji. Najróżnorodniejsze natchnienia płyną zewsząd ku niemu, domagając się życia. Geniusz Szekspira stapia je wszystkie w potężne postaci. Głazy marmuru znalazły swego rzeźbiarza, rozrzucone myśli swego mistrza, jednym słowem na pozór nieład, brzemienne objawy kilku wieków nauki i wiedzy znalazły słowo życia i światła. Szekspir przygarniał niezmordowanie myśli społeczne, tajemnice średniowieczne, dzieje narodowe, fantastyczne legendy, greckie i łacińskie poemata, i z tego wszystkiego utworzył ów teatr czarowny, ożywiony technieniem geniuszu.

Szekspir wydobyl wszystek szlachetny kruszec z kopalni swego wieku. Żył w czasach, kiedy narody umiały tworzyć z młodzięcym zapalem a zarazem czuwać nad tem, żeby nie wyjść poza kres miary. Rzadko tak olbrzymi geniusz natrafia na stan podobnego ruchu w narodach: Homer, Dante i Szekspir — to jedyna w dziejach trójca, która żyła z wiekami, i wieki bez nięj istnieć nie mogły; to ludzie, którzy zagarnawszy całą spuściznę przeszłości, spowinęli ideje przyszłości.

Tyle o czasach szekspirowskich. W następnej kronice pomówimy o dramatycznym kierunku Szekspira.

August Jeske.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Kurs początkowy teoretyczno - praktyczny języka francuzkiego i t. d. przez Dr. Karola Wagnera część I (1864 r.) i część II (1865 r.). — Nowa metoda nauczania się czytać, pisać i mówić językiem niemieckim w 6 miesiącach i t. d. tłomaczona z H. G. Ollendorfa wraz z Kluczem do tejże metody.



Wiać nam powszechnie, jak w dzisiejszym stanie społecznym ważną jest znajomość obcych języków, jak dla nas mianowicie francuzkiego i niemieckiego, a przynajmniej jednego z nich; tymczasem z przykrością przyznać się nam wypada, iż nie mamy do nauczania się tych języków dobrych książek. Ztąd trudności niemałe w prywatnej osobliwie edukacji, bo nauczyciel, lub nauczycielka nie znajdując pod ręką dzieł ułatwiających systematyczną naukę, chwytając się muszą pierwszych lepszych w jakie księgarnie nasze są zaopatrzone. Jeszcze w mieście pół biedy, bo można uczynić pewien wybór, ale na wsi, każda guwernantka, każdy guwerner zwykle wypisuje sobie nie te książki które są najlepsze, ale z których się sami uczyli, lub które reklama dziennikarska za najlepsze ogłosiła.

Dotąd powszechnie do nauki języka francuzkiego używano grammatyki Noela i Chapsala, gramatyki bez wątpienia niezłej, tylko nie dla Polaków. Dla tego uczeń lub uczennica recytowała wybornie prawidła np. tworzenie liczby mnogiej, lub użycia trybu łączącego, a najokropniejsze w mowie i na piśmie popełniała błędy. I nie mogło być inaczej, bo tu praktyka szła swoją drogą, a teoria swoją, i to jeszcze teoria nie mająca nic wspólnego z nauką ojczystego języka.

Na szczęście zjawia się tak zwana metoda Ahna, więc wszyscy się do niej rzucają, czego dowodem rozliczne jej tłomaczenia polskie i wieloliczne wydania. Zkądże taką wziętość pozyskała metoda Ahna? Oto, iż stopniowo zapoznawała uczącego się z wielką ilością wyrazów i wyrażeń, począwszy od najłatwiejszych. Owo umiejętne stopniowanie ułatwiałoby nadzwyczajnie naukę, tak iż uczeń w krótkim czasie znaczną ilość frazesów mógł się popisać, zawsze to jednak była nauka mechaniczna nie powiązana z sobą ogólnymi prawami językowymi. Brak reguł gramatycznych nie dozwalał uczniowi osiągnąć wszystkich korzyści, jakiego mógł otrzymać z wyuczonych frazesów. Dla tego też po przejściu dwóch części metody Ahna rzadko uczeń był w stanie tłomaczyć najłatwiejszą książkę francuzką, a co do gramatyki, tej wcale nie znał. Tę ostatnią wadę metody Ahna naiwnie głoszą jako jej przymiot szczególniejszy.

Tymczasem doświadczenie i wyrozumowane zasady pedagogiczne nas przekonywają, że najlepszą zawsze będzie ta metoda, która ściśle łączy teorię z praktyką, to jest prawidła gramatyczne z odpowiedniami im

zasadami. Pamiętał o tej prawdzie p. Lessman wydając metodę Dr. Karola Wagnera, bo tu przed każdym zadaniem mamy wyłożone prawidło gramatyczne. Nadto w książce Wagnera miano wszędzie wzgląd na język polski, a postępując na wzór Ahna w stopniowym dodawaniu coraz nowych wyrazów i wyrażeń, załączono tak pożyteczne rekapitulacje, czyli powtórzenia kilku lekcji pewną całość stanowiących. Dotąd mamy dwie części metody Wagnera, i to ograniczające się na pierwszych elementach języka, część etymologiczna jest tu tylko rozwinięta i to nie w zupełności, dla tego spodziewamy się, iż przez wzgląd na dobro ogólne p. Lessman na tych dwóch częściach nie poprzestanie, lecz postara się, abyśmy w podobny sposób opracowaną mieli składnię, ale zawsze ze zwrotem na ducha naszego języka. Wiemy, że autor niemałe będzie tu miał trudności, zwłaszcza gdy mu przyjdzie wykazać sposób łączenia zdań w okres, tak często odmienny w obydwóch językach ale za to tym większą położy zasługę nie tylko dla uczących się, ale i dla uczących, mianowicie też cudzoziemców, którzy pozbawieni dobrego przewodnika i długo i niedokładnie wykładać swój przedmiot są zmuszeni, a zawsze ze szkodą polskiego języka.

Metoda Ahna do niemieckiego języka nie jest tak jak do francuzkiego upowszechnioną, może właśnie dla tego, iż jej niedostatki tym dotykalsze tu się stają. Zasłużony wydawnictwem wiele naukowych książek, wspomniany wyżej księgarz Lessman, starał się uzupełnić metodę Ahna łącząc ją z gramatyką Bekera, a następnie przyswoił nam tak głośną w całej Europie metodę Ollendorfa.

O tej ostatniej chcemy parę słów powiedzieć.

Każda metoda na ogólnych prawach językowych oparta i sama w sobie pewną całość organiczną stanowiąca, ma to do siebie, iż chcąc z niej rzeczywistą odnieść korzyść, należy sumiennie przejść całą, a nigdy nie przerzucać się lekkomyślnie z jednej do drugiej, bo ztąd rodzi się chaos, jakieś dziwne pomieszanie, skutkiem którego uczeń kilka lat nawet na nauce strawiwszy, w końcu się przekona, że coś i nie umie.

Metoda Ollendorfa w sposobie reklamy nam zapowiada, iż w sześciu miesiącach wyuczy swego ucznia czytać, pisać i mówić po niemiecku. Niech nam będzie wolno o tem wątpić; gdyby to osiągnęła i w 12 miesiącach, to i tak wielkichby rzeczy dokazała. Chociaż z drugiej strony, nie zaprzeczamy jej użyteczności, ale zawsze pod warunkiem powyższym, aby nie rzucić jej dopóki się całej nie przejdzie, wtedy sąd sprawiedliwy o niej wydać można. Ollendorf w swojej metodzie łączy w prawdzie teorię z praktyką, lecz tę pierwszą tak rozdrabia, iż nawet po kilku lekcjach następujące szematowe rekapitulacje, zapobiedz temu niedostatkowi nie mogą. To rozdrobienie i rozproszenie znika dopiero po przebieżeniu całego dzieła, ale wymaga za to od ucznia ciągłego baczności, ciągłego przypominania sobie tego co przeszedł.

Jakkolwiekby dla tych, co sami, bez pomocy nauczyciela pragną wyuczyć się jakiego języka, nie ma dotąd lepszej metody nad Ollendorfa. Ostrzegamy wszakże, iż pragnący według niej się uczyć, powinni już znać chociaż ogólnie wszystkie części mowy i być połączonymi z terminami wspólnymi wszystkim gramatykom.

Tłomacz polski metody Ollendorfa niemało miał trudności, z których nie wszędzie potrafił się szczęśliwie wydobyć, bo chcąc ułatwić język i wyrażenie czysto niemieckie, musiał mu poświęcić czystość wyrażenia się polskiego. Znający dobrze swój język nie na tem nie straci, owszem zyska, ale mniej biegły uczeń może przywyknąć do wcale niepolskich wyrażań. W niektórych miejscach zapobiega temu tłumacz, kładąc poprawne wyrażenie polskie obok doskonałego niemieckiego. Tym sposobem książka, już i tak sama z siebie wielka, zwiększa się jeszcze więcej, ale nam nigdy dość ostrożnymi i baczniemi być nie wypada, kiedy idzie o zachowanie czystości i poprawności ojczystego języka.

W drugim wydaniu, którego życzymy tłumaczowi, aby jak najrychlej był w stanie dokonać, znikną zapewne niektóre błędy pośpiesznej korekty, jak również znajdują się dopelnienia, które pożyteczną tę książkę, jeszcze pożyteczniejszą uczynią.

J. P.

Norny i Balder.

(Dokończenie).

Autor, wierny tradycji, wprowadza najprzód na scenę Baldera, opowiadającego matce trapiące go sny złowieszcze. Frygga z pomocą innych Bogów, zaklina całe stworzenie, pomijając, jak wyżej, jedną tylko *jemiołę*... Zdradny *Loke* wie, że w szeregu zaklęć, pominięta *jakaś* roślina, ale niewie *jaka?* Przybiera więc postać dziewczicy, szukającej niby leków dla chorego kochanka, i stając przed Fryggą, zanosí kłamaną skargę: „Jeden wieszczek, powiada, radził mi spalić na ofiarę to, co istniejąc na ziemi, do tyła jest nieszkodliwym, że nigdy nie może nabawić nikogo trwogą? Frygga poruszona troską przebranego *Loke*, zdradza sama siebie, dając mu nieszczęsną roślinę którą tak lekceważyła!...

I natychmiast słońce zachodzi chmurami... Czarni karli wyskakują ze szczelin skał, żeby ukuć co żywo ostrze skały złowrogięj, nauczają ją w sercu nowonarodzonego dziecięcia, wyrażają dziką radość swoją w ponurym śpiewie...

Lecz pokój panuje jeszcze na niebiosach. Sam tylko Balder walczy z nieukojonem przecuciem... Inni Bogowie uspokojeni i pewni szczęśliwej przyszłości obchodzą przez igrzysko bojowe koniec trosk minionych i niepokojów. Dla przekonania zaś, że nie już w kole stworzenia nie może przynieść szkody Balderowi, uderzają na siebie kolejno ostrzem swój broni. Chór ludzi przyglądających się z ziemi tej zabawie Bogów, tak ją wystawia:

Patrzcie, patrzcie! tam Bogowie
W błyszczące pancerze strojni,
I hełmy mając na głowie,
A w miecze i dzidy zbrojni,
Uderzają na Baldera...
A każdy groźnie się sroży—
Ale ta groźba nie szczera,
Ale ta srogość nie trwoży!

Z gałązką dębową w dłoni,
Balder jaśnieje przed niemi—
Blond jego włosy, ze skroni,
Spływają sploty złotemi.
Niby dziewica, sploniony,
Z uśmiechem pełnym uroku,
Czeka, by bój ten szalony,
Odkrył mu tajemę wyroku!

Patrzcie! jak się Odyn ciska,
Na rumaku ośmionogim,
Miecz znany w rękę mu błyska,
I z góry, mieczem tym srogim,
O pierś Baldera uderza,
Lecz pierś ta, ran się nie lęka,
I po powierzchni pancerza,
Jak w struny arfy, miecz brzęka...

Daléj Thor *) z trzaskiem i grzmotem,
Na swoim wylata wozie,
Olbrzymim wywija młotem,
Twarz marszcząc w dumie i grozie,
I ciska młot swój z pośpiechem,
Na ulubienca Przyrody—
Lecz Balder spojrział z uśmiechem,
Młot się ześliznął bez szkody!

Daléj na wozie złocistym,
Patrz, Freya **), splót jej warkoczy,
Urokiem nęcąc ognistym,
Po jej ramionach się toczy...
Wieniec róż, z śnieżnej swej dłoni,
O twarz uderza młodzieńcza,
I z własnej śmieje się broni,
Któręj pociski nie dręczą...

Wtem chór zwrócił uwagę na dwie postacie pośepne, które zdawały się nie brać wcale udziału w radości powszechnej. Był to *Loke* i ślepy brat *Baldera*, *Hodur*. *Loke* rzekł do ślepego: „Dla czegoż nie uczestniczysz w uroczystości? Czyliż nie kochasz twojego brata, i nie chcesz przekonać go, że jest *nie rannym*, wymierzając przeciw niemu pocisk zbrojny?“

Biedny *Hodur* czując w tych słowach zwykłe szyderstwo, odpowiedział: „Pytasz mnie nieszczęsnego ślepego, dla czego nie łączę się do tej uroczystości, jak gdybyś nie wiedział, że grube ciemności przedzieliły mnie od dawna od wszystkich rozkoszy i czynów podświetlonego świata. Zresztą, nie wiem wcale, gdzie jest brat mój, i nie mam w rękę broni jak inni Bogowie! Uważany tu jestem na poły jak dziecko, na poły jak starzec złamany wiekiem i bezsilny jak dziecko.“

Wówczas *Loke* daje mu do rąk przygotowaną strzałę, i zachęcając zdradliwie niewinnością zabawki podprowadza go wprost *Baldera*. *Hodur* ciska nieumyślną ręką swą strzałę, i przeszyty nią *Balder* upada, Bogowie przerażeni stają jak wryci, *Loke* uchodzi...

Nieporównanej piękności monolog *Hodura*, zakończył dramat.

*) Thor — Bóg siły i piorunu.

**) Freya — Bogini Miłości i Pogody.

„Cóż? Czy trafiłem? Po cóż ta cisza! Czy strzała przeszła mimo Baldera? A więc śmiejecie się, śmiejecie się przynajmniej! ale dla czego i wszyscy i wszystko tak zamilkło! Ha! zawsze poniewierają ślepcem! Ty przynajmniej, dobry mój bracie Balderze, ty się odezwij! Wszak jeden tylko lubieś podzielać smutek mojej ślepoty, i pocieszałeś mnie? Powiedz, czy moja strzała przeleciała mimo twojego łona, jak brzęczenie natrętniej muchy, czy odbiła się o łuskę twego pancerza jak ziarnko gradu?... O odpowiedz! Może hołd złożony ci przez ślepca obraził ciebie?... On milczy, to dziwno! Wszyscy zamilkli, wszyscy! Grono Bogów milczące jest jak stare groby wymarłego pokolenia królów! jak pobojuwisko po bitwie morderczej!... Lecząc coż to znowu za czary! Nurzam się w wodach potoku! Mokre fale przepływają po nogach moich... Odynie, Fryggo! Ojcie mój, matko! odpowiedzcie mi odpowiedzcie!...”

Na to odpowiada mu boleśny okrzyk Fryggi.

„O nieszczęsny! Woda opływająca ci nogi, to krew twojego brata!...”

Powiedzmy jeszcze słów kilka o samym poecie:

Adam Oelenszläger zmarły w roku 1850 urodził się w r. 1779 w Frydryksbergu pod Kopenhagą, gdzie ojciec jego był organistą, a potem intendentem zamku. Po przejściu szkoły przygotowawczej chodził na wydział prawny. W r. 1801 podczas napadu floty angielskiej na Kopenhagę był w stopiu chorążego w korpusie akademickim. Następnie oddał się wyłącznie pracy naukowej. Kształcąc się czas niejaki w Berlinie gdzie uczył się na odczyty Fichtego—zwiedził potem Francję i Włochy bawiąc przez długi czas w Paryżu i Rzymie. Po powrocie do ojczyzny, został profesorem Estetyki, i zasłużył w swoim kraju na wziętość i cześć powszechną. Niezadowolniony małą liczbą czytelników w języku ojczystym, (naliczył ich ledwo dwudziestu!) i pragnąc szerszego rozgłosu, pisał wiele po niemiecku. Ogólny zbiór pism jego razem z pamiętnikami wydanymi pośmiertnie, wynosi około trzydziestu tomów. Za najwyższy z utworów poety przynajmniej Epos, pod tytułem: *Nor der guden* (Północy Bogowie). Pisał też wiele tragedji po większej części, treści historycznej, albo mitologicznej, jak przejrzana przez nas tragedia: *Śmierć Baldera*. Niemniej też odznaczał się w poezji lirycznej, w rodzaju pieśni którą tu dajemy w tłumaczeniu...

PRZELOT PTAKÓW.

Widzisz, stadami lecące ptaki,
Północną rzucają stronę,
I przez powietrzne szybują szlaki,
Ku obcym brzegom niesione.
Śpiew ich żałosny, zabrzmiał do koła,
Złączony z wiatru powiewem,
„Gdzie nas o Boże! goniec twój woła?”
Zdają się pytać tym śpiewem?

Z niespokojnością rzucały kraje,
Gdzieśmy wyrosły, i były
Achl tak szczęśliwe! i owe gaje,
Gdzieśmy gniazdeczka uwiły!

Wiatr nas kołysał w stronach rodzinnych,
Na wonnych gałązek spłocie,
Teraz z wiatrami, do krain innych,
W ciężkiej lecimy tęsknocie...

W lasach wdzięk nocy tak był uroczy!
Wieniec róż pierś jej osłaniał,
I lśnił się złoty zwój jej warkoczy,
Wdzięk nocy spać nam nie dawał
A gdy rozkosznie sen nas uludził,
Ach! w błogim byłymy staniel!
Dopóki ranek nas nie obudził,
Na swym błyszczącym rydwanie!

Zielone drzewa na różę drzącą,
I na trawniki zielone,
Zlewały kroplę rosy świecąca!
Dziś, liście z dębów zmienione,
Róża uwiedła i hałas burzy,
Powiew wietrzyka zagłuszył,
A barwę maju i krzaki róży,
Śnieg już dokoła opruszył...

Cóż dalej pocznem w lasach północy?
Niebo tu coraz się chmurzy,
I błędnie słońce bez dawnej mocy!
Ku czemu śpiew nasz posłuży?
Gdy cała ziemia, niby grób niemy!
Bóg nam dał skrzydła, żeby w przestworza,
Inne ulecieć, ku wam lecimy,
O fale burzliwe morza!

Taką pieśń nuca ptaki wędrowne,
Aż Bóg wprowadza je w końcu,
W inną krainę, gaje czarowne,
W wieczystym kapane słońcu...
Tam znów je wonna gałąź kołysze,
I srebrne szumią strumienie
Pod cieniem myrtu, a leśną ciszę,
Radości przerywa pienie!

Tak, gdy twe ziemskie szczęście się zmieni,
W dolę złowrogą i ciemną,
Lub gdy zasłumi wicher jesieni,
O! nie narzekaj daremno!
Tam za morzami — inna kraina,
Wieczystą wiosną się śmieje —
Tam po za grobem — inna kraina,
Wieczystem szczęściem jaśnieje!

Obok gorącej miłości ziemi rodzinnej, Skandynawowie pociągani byli od wieków jakimś niewysławionym czarem, do ciepłych krain południa... Na dowód przytoczyć byśmy mogli niemało faktów historycznych i starych sag islandzkich. Nowożytny poeta pół-wyspu, powtarza to samo uczucie, niby echo tradycji narodowej!

Jan Prusinowski.

(Dodatek).

Ś L U B.

W białej sukience, z kwiatami u czoła,
Lekką zasloną niby mgłą owiana,
Z twarzyczką bladą jak smutku anioła
Kłękła na stopniach dziewica splekana.

Oczy swe jasne, na ołtarz zwróciła,
Bo tam na krzyżu Odkupiciel kona...
A z krzyża płynie wzmocnienie i siła,
Więc o nie błaga dziewica strwożona.

Siły jój trzeba, bo zbliża się chwila
Strasznej przysięgi, którą Bóg wysłucha,
Z rzewną więc modłą do stopni się schyla.
Gdy pieśń zabrzmiała do Świętego Ducha.

Strwożone serce zadrgało w jój łonie,
Wołając głośno, że ma prawa swoje....
Wtem ksiądz przystąpił, połączył ich dłonie
I straszną przysięgę wyrzekli oboje.

Chrystus, słuchając, spojrzał tak głęboko,
Że przed tym wzrokiem dziewica zadrzała
I łzą boleści zamgliło się oko,
A z ran Chrystusa świeża krew się lała.

Przysięgła miłość, której w piersi nie ma,
Bo ten skarb serca innemu oddała,
Lecz jój się zdało, że łatwo dotrzyma,
To co tak głośno, śmiało przysięgała.

Tak jój mówiły siostry, rówiennice,
Tając łyzy gorzkie, walkę i cierpienia,
Albo upadku smutne tajemnice,
Albo smutniejsze wyrzuty sumienia.

Bo walka z sercem, to walka nad siły!
Kłamie, kto mówi, że zwyciężył swoje!
Walkę tę kończą cmentarne mogiły
Gdy serce skryją pod całunu zwoje!

Ślub już skończony — życzenia do koła —
Nowa się życia rozpoczyna droga...
Dla czegoż kwiaty powiedły u czoła?
Bo je zmroziła jakaś myśl zwłowroga!...

Biedna dziewica w tej chwili poznała,
Że chociaż usta kłamały tak śmiało,
Chociaż przysięgę głośno wymawiała
Sumienie głośnieć kłamstwo wyrzucało.

I poszła smutno drogą życia mową —
Łzą powitaną — kłamstwem rozpoczętą,
Wieniec się zmienił w koronę cierniową,
A dawne szczęście — w boleść niepojętą.

Ewelina S.

POWRÓT NAD RODZINNĄ RZECZKĘ.

Mgły tak zwisły nad wodami,
A nad mgłami — ach chmur tyle...
Iż najłżejszy wiatr falami
Nie zamąci, — jak w mogile.

Jeszcze przed kilkoma laty,
Tak błyszczało wód tych czoło,
Wieniec barwiły je kwiaty,
Biegły z szumem, het za sioło!

Czemuż dzisiaj rzeczeko miła
Smer twój ucha mi nie pieści?
Czyś się po mnie tak stęskniła,
Czyś świadoma mej powieści?

Niegdyś ja tu z piosnką moją
Rzucałam ci kwiatów zwoje;
Mnie, pobladły wianki moje...
Twoje wody smutnie stoja.

Dziś rzeczułko ma rodzima,
Łzą boleści witam ciebie!
Bo już inną nad tę niema,
Na mem chmurnem życia niebie.

Augustyna Stanczykiewicz.

DO GWIAZDKI.

Witaj gwiazdko moja złota
Długoż jeszcze będziesz lśnić?
Długoż jeszcze żal — tęsknota
Wrzątek serca będzie pić?...

W mojej duszy bezpromienna,
Rozpostarła noc swą cień;
Moja luba, moja zmienna,
Pogrążyła w otchłań mię.

Ej, precz z myśli wy wspomnienia,
Gwiazdko moja w przepaść leć!
Dość żywota, dość marzenia,
Dość rokosznie sny już mieć!

Świat mi grobem zewsząd wieje,
Liść kaliny żywot mój;
Mgła rozwiewna — me nadzieje,
Czara życia, krwawy znój...

O LUCYNIE.

Kędy Lucyna przechodzi,
Niebo pogodne w tej stronie;
Ptaszat piosenka brzmi słodziej.
I kwiatków wdzięczniejsze wonie.

Strumyczek, szemrzy radośnieć,
Zefirek świeższy powiewa:
Pola się śmieją miłośnić,
I patrzą weselęj drzewa.

Lecz gdy ją spotka młodzieniec,
Przyplaci drogo, ach drogo!...
Na licu straci rumieniec,
A w sercu spokojność błoga.

W. z Zacisza.



Korrespondencja z Paryża.

Obecny miesiąc mało przedstawia szczegółów do zapisania w sprawozdaniu naszym. W sklepach i na ulicy widać jeszcze letnie ubrania, nikt jednak nie kupuje już ani sukien ani kapeluszy letnich, jesienne zaś dotąd nie wystąpiły na widownię, i kryją się po magazynach pierwszych modniarek, które trzymają w ręku berło mody i narzucają prawa swoje nie tylko Paryżankom, lecz niemniej kobietom całego ucywilizowanego świata.

W okrywkach jesiennych zapowiadają zmianę; zamiast krótkich paletotów i rotond, mają nosić bardzo długie. Niedogodna to moda przy dzisiejszej objętości sukien, gdyż na taką okrywkę nadzwyczaj wiele wyjdzie materiału, a długość jej na krynolinie, wcale ciepła nie doda.

Materje na suknie czy to jedwabne czy wełniane, najmodniejsze w podłużne pasy rozmaitych rozmiarów. Między innemi uważaliśmy ciężką morę w kolorach dzikich w drobne czarne paseczki i materje w Tureckie paski szerokości palca, na tle czarnem, szafirowem lub popielatem. Do najmodniejszych należy materja czarna lub szafirowa, przerabiana w białe paski, które tworzą jakby wtawki koronkowe, naszywane w odstępkach. Paski te naśladują koronkę *Kluny*, nadzwyczaj dziś używaną. Jest to koronka gruba niciana podobna do gipiury z niejaką wszakże odmianą. Przeważano ją koronką *Kluny* z tego powodu, że w muzeum starożytności średniowiecznych w Paryżu, przewanym *Musée de Cluny* przechowane zostały, z dawnych czasów, bardzo piękne koronki, które służyły niegdyś do ozdoby alb i komży kościelnych. Wzory te poczęto dziś naśladować, a kopje odtworzone z nich przeważano koronką kluniacką.

Takimi wstawkami obszywają jedwabne a nawet wełniane suknie, kładąc je na czarnej lub ciemnej aksamitce. Szczególniej suknia z popeliny Irlandzkiej przybrana w ten sposób, bardzo pięknie wygląda. Niekiedy dają wstawkę koronkową na aksamitce po nad obrębem; częściej jednak dół sukni bywa zupełnie gładki, wstawka zaś szeroka na dwa lub trzy palce idzie wzdłuż spódnicy po obu stronach przodu. Po-

między temi dwoma wstawkami naszywają rząd aksamitnych guzików. Stanik ma przeciągniętą wstawkę od ramion do paska, tworzącą jakby szelki; nad rękawami wstawka oznacza epolet, u ręki zaś mankiet odwrócony do łokcia. Ubierając suknię wstawkami *kluny* trzeba uważać na to, żeby koronka węższa była od aksamitki, podłożonej pod nią, tym sposobem garniturnek jest bogaty a mniej kosztowny. Uważaliśmy także suknię przybraną w inny sposób. Na aksamitce szerokiej na trzy palce, położona była z obu stron, wązka koronka w ząbki obrócone do siebie, lecz nie schodzące się razem, co bardzo ładnie wyglądało.

Koronka *Kluny* używana dziś do wszystkiego, tak do ubrania sukien jedwabnych, jak do koszulek i kołnierzyków. Koszulki muslinowe przeszywają w pasy takimiż wstawkami tak z przodu jak i z tyłu, niekiedy podwłóczą koronkę wstążką kolorową, częściej jednak zostawiają wstawki klarowne.

Kołnierzyki najmodniejsze, płóciennne z zaokrąglonemi rogami dosyć duże, mają za całą ozdobę kokardę z koronki kluniackiej, z rozszerzonymi końcami spadającą na dół, i przytwierdzoną broszką w kształcie wielkiego guzika *). W ogólności kołnierzyki noszą daleko większe od zeszłorocznych. Niektóre garnirują w koło koronką.

Kapelusze okrągłe kastorowe w kolorze szarym lub czarnym, dają się często widzieć. Główka u nich okrągła jak melon, rondko małe na trzy palce, nie podwijane z boków, ubranie ich stanowi gruby sznur jedwabny czarny lub kolorowy, przewiązany z tyłu na węzeł, zakończony szmuklerską żołędzią w końcach. Najmodniejsze z nich opasane sznurem w dwóch kolorach, pasowym i jasno szafirowym. Te dwie połączone barwy stanowią panującą dziś modę, są to bowiem barwy *Gladiatora*, sławnego bieguna, który odniósł wielkie zwycięstwo na wyścigach tegorocznych w lasku Bulońskim. Noszą też paski *à la Gladiator*, w połowie pasowe w połowie szafirowe, takżeż krawatki i szarfy. Uważaliśmy zarówno koszulki pasowe kaszmirowe, wyszyte pletnią szafirową, i szafirowe z pasowem naszyciem.

*) Formę tego kołnierzyka damy w przyszłym tygodniu w deseniach do haftu.

ROZMAITOŚCI.

Przejażdżka do kopalni złota.

(Dokończenie).

III.

PLASERWILL.

Wyjeżdżając z Europy, w podróż na około świata, wywieźliśmy z sobą pojęcia o Kalifornii, zgodne z jej stanem przed dwoma laty. Ale wyobrażenia te zesta- rzały się za nim zdołaliśmy je dowieźć na miejsce. To cośmy dotychczas widzieli zatęchło przeszłościę wzo- rąszą. Tylko spodziewane odwiedziny w kopalniach budziły nadzieję ujrzenia Kalifornii w jej namiętnem gonieniu za złotą fortuną. Lecz niestety i tuśmy zosta- li zawiedzeni! Igrzysko losu... bogactwo spodziewa- ne i wygrane, nagła jutrzejšia nędza nie są tu więk- sze niż na giełdzie w Paryżu lub Londynie. Obroty fortuny ślepej może nieco jawniejsze, ot i wszystko.

Plaserwillskie kopalnie stanowią miasto o 600 do- mach i 8,000 mieszkańcach, łudzących się nadzieją szczęścia i majątku nie więcej jak inna ludność jakie- gokolwiek przemysłowego miasto. Dobywanie złota jest już dziś nie grą, ale przemysłem systematycznym. Tysiące ubogich nie zasypia tu z gorączkową nadzieją ujrzenia się jutro Krezusami. Złoty deszcz spływa tylko do kass kapitalistów, jak wszędzie... jak wszę- dzie. Kompanje prowadzące wodę do płóczek zara- biają więcej niż górnicy, zmuszeni kupować tę wodę, a bankierzy i lichwiarze dający gotówkę jednym i dru- gim zarabiają jeszcze więcej.

W pierwszych latach odkrycia złota górnicy uwa- żali sobie za ujmę pracować dla kogo za wynagrodze- niem dziennem. Wydobywanie złotego piasku było grą. Dziś bez twardej pracy i kapitału nie ma zdo- byczy nie ma zysków... nie ma chleba.

Widok Plaserwilla bardzo oryginalny, podobny bo- wiem do mieszkań tego owadu, który pewien mędrzec wskazał ludziom za wzór pracowitości. Grunt otacza- jący miasto zazwyczaj od oddalonych gór, do przejść międzyulicami i domami skopany, jakby mrowisko. Skarby złożone w tej ziemi przeszkadzają prawidłowemu rozlokowaniu się miasta tak ulubionemu w Ameryce. Ulice i domy zakładają się i wznoszą tam, gdzie nie ma szansy założenia kopalni. Czasami następuje zmiana frontu, w miejscu budowy na współ wzniesio- nój kopie się szyb... a z budową wędrują dalej. Jest to zapewne szczęście, wygrany los znaleźć miejsce od- powiednie na kopalnię, ale do wydobywania tego losu po- trzeba takiej pracy i takiego kapitału, na jaki nie ka- żdego stanie. Rozkopanych miejsc rozumie się nikt nie zasypuje i powstające w pustyni miasto ma wiele podobieństwa do grodu rozwalin i gigantycznych na- sypów ziemnych.

Dla tego też kto nie zna miejscowości, Plaserwill na pierwszy rzut oka zdaje się nie wartem zwiedzenia. Kilkanaście razy można przejść koło jakiejś ciekawej pracy, nie domyślając się jej wcale. Należy bowiem wiedzieć, iż w Ameryce prostota i taniość wszelkich robót doprowadzona do najwyższego stopnia. Nie raz w budynku gorszym od chlewka mieści się potężna machina parowa, a strugi biegnące w śród ulic i po-

dwórz są wodociągami prowadzącymi wodę do prze- mywania złotego piasku, którego kupy warte tysiące dolarów, leżą bez żadnego ogrodzenia ochrony lub warty.

Przybywszy do Plaserwill jak wszędzie stanęliśmy w hotelu, dziwiąc się niezmiernie jego obszerności wykwintnemu komfortowi i taniości, jakiej nie spo- dziewaliśmy się zastać biedni Europejczycy w stolicy złota. Główna izba hotelowa mieści w sobie ekono- micznie trzy kantory: jeden miejscowy, drugi kompa- nii omnibusów (gdzie są amerykańskie tam i omnibusy), a trzeci sprzedaży złotego proszku. W środku izby wznosił się piec żelazny, gorejący, czerwony niemal. Około niego, jak około środka, gromadzili się goście hotelowi. Oparłszy nogi o rozgrzane żelazo w tej postaci na wpół stojącej na wpół leżącej zdawali się używać żywych rozkoszy wywczasu. W drugiej izbie ze czterdziestu dżentelmenów pożerało obiad wśród sutych libacji ową nienawistną wódką o której słysze- liśmy piorunującą prelekcję w Folsomm. Na gorze wszystko cicho, spokojnie, miłutko... na dole odwrot- na strona medalu.

Plaserwill ma jedną tylko dobrze zabudowaną na wiorstę długą ulicę... Około 200 murowanych domów wznoszą się po obu stronach, zajęte na hotele, skła- dały gotowego ubioru, pracownie fotograficzne i biu- ro ogniowe. Ta ostatnia, czysto amerykańska insty- tucja niedawno co zaprowadzona i oddziały straży formują się dopiero. Towarzystwo to mimo wielkie- go zamięłowania Amerykanów do strażowania i poża- rów nie może się prędko zwiększać, gdyż nie odpowia- da zajęciu górników. Rozrzuceni są na znacznych przestrzeniach, a niektórzy mieszkają przy swoich ko- palniach w tak nazwanych *cabines*. Są to proste bud- ki z desek, z płaskim dachem, z maleńkim okienkiem. Co nas najwięcej zdziwiło, to magazyny zabawek. Pięć lat temu, nie było w Plaserwill ani jednego zo- natego mężczyzny, dziś muszą być i dzieci skoro są składy zabawek. Doprawdy życie tu idzie pośpiesz- nie i nie zdziwić się wcale, gdy mi zarzucą, iż opis mój ma tylko historyczną wartość. Wczoraj w Kali- forni nie podobne wcale do dzisiaj. Jednym z utrzy- mujących taki skład zabawek wraz ze sklepem cygar był tu niejaki p. Bell, żyd z Galicji który nas jak ziomków przyjął. W trzydziestym czwartym roku życia wyszedłszy z Brodów, zmieniał po trzy razy ojczyznę, wyczuł się czterech języków i zdaje się znalazł nareszcie w Kalifornii obiecaną ziemię. Nale- ży on do liczby Plaserwillskich akcjonariuszów, kapi- tał swój wydobył z błota w pierwszych chwilach od- krycia złotodajnych rozsypów, puścił go następnie w zyskowny handel i dobił się niepomiernej majątku. Wspólnikiem jego był Polak z gubernii Wileńskiej, nazwiskiem N. jeśli sobie dobrze przypominam. Przy- jął nas z otwartymi rękoma jak ziomków, wystawił dobry obiad, o co tu trudno, dobre wina, ale źle już mówił ojczystym językiem, chociaż wiele jeszcze zwy- czaj z ojczyzny swojej zachował.

Znajomość ta przydała nam się cokolwiek, gdyż jęj tylko możemy zawdzięczać, że widzieliśmy kopalnię złota, otrzymane bowiem listy z Saint-Francisco ża- dnej nam korzyści nie przyniosły. Obecnie mało się złota dobywało w kopalniach. Wydobywanie złota suche, wymagające wielkiej sztuki i połączone ze stra- tami metalu zupełnie jest zarzucone. Większą część

złota wydobywa woda, a nie ludzie. Przy pracy w gruncie pulchrym, miękkim woda jest czynną od początku do końca. Ziemia twarda rozbija się wprzód na kawałki, które miały się w młynach i dopiero przemijają. Takie młyny często bardzo spotkać można koło szybów i podziemi rytch w twardej skale. Opłacają one znakomite wydatki jakie ponosić trzeba w kopalni.

Dolina Plaserwilla i otaczające ją góry są wielką fabryką, w której woda pracuje: bieży, podnosi się spada, porusza wszystkie maszyny. Gdzie się obrucisz, wszędzie woda. Dla tego też, jeżeli niema wody w kopalni, górnik prowadzi ją zdaleka, lub kupuje od tego kto ją posiada, jak my w miastach kupujemy gaz. Mając wodę, ma wszystko, a praca jego ogranicza się na tem aby złotodajną ziemię kłaść do wody. W drugim końcu maszyny otrzymuje złoto błyszczące. Maszyny do mycia złota udoskonalone zostały niezmiernie, a tym sposobem dały możność przemysłowania takiej ziemi jakiej ręczną płuczką nie podobna było obrabiać. Dla tego też tutejszy górnik musi być zarazem inżynierem, mechanikiem i górnikiem. Dzięki im dwóch lub trzech ludzi przemysłowa dziś potężne góry w krótkim czasie, kiedy pracując rękami do wykonania tej pracy nie starczyłoby im życia. Dziś, jak już tyle razy powiedzieliśmy, wydobywanie złota jest górnictwem, prowadzonym regularnie, z umiejętnością, której ten przemysł zawdzięcza swe zyski. Opisanie wszystkich robót przy dożywaniu złota, jakkolwiek idzie o przedmiot tak pojętny, znudziłoby naszych czytelników. Zwrócimy tylko uwagę, iż prawdziwą grą w kopalniach nie jest dożywanie złota, nie są nagłe wypadki odkrycia większych skarbów, ale sprzedaż części kopalni. Każdy z górników należy do pewnej kompanji z którą razem pracuje. Posiada więc swoją część, rodzaj akcji. Tę akcję on zbywa nabywa inne, traci lub zyskuje na tem. Tak więc stara namiętność ludzka do gry znowu przejawia się tu w tej samej formie. W Holandji grano na tulipany, w Paryżu grają w rentę, a w Kalifornii na kopalnię złota...

Wróciliśmy z Plasserwill do Saint-Francisco nie zbyt zadowoleni z naszej wycieczki. Fantastyczny urok otaczający kalifornię... bajeczne opowiadania o bogactwach tego Eldorado, o życiu koczowniczym w kopalniach znikły. Zastaliśmy tu Amerykę prowadzącą przemysł złoty, tak dobrze jak się prowadzi połów ryb na New Funlandzie, lub jak się miele mąka około Baltimore.

Nie warto było przebywać długiej podróży niemal na około świata, wszystko to bowiem ujrzyć można było w New Yorku...

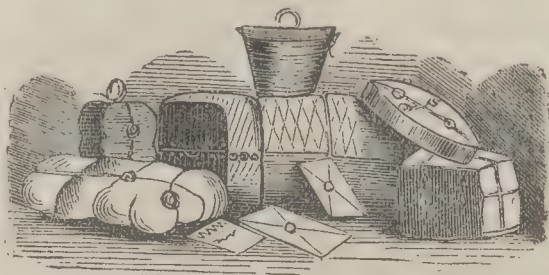
Opis ryciny

F. 1. Suknia z lenosu białego naszyta nad obrębem trzema rzędami wąziutkiej jasno-szafirowej aksamitki. Co półbryta naszyte to zawraca się w górę pod prostym kątem. Na każdym kancie, w końcach aksamitki dana perełka stalowa naśladowująca guzik. Stanik do tego biały muszlinowy, fałdowany w szerokie zakłady, przewłóczony szafi-

rową aksamitką, pasek szafirowy. Na wierzchu paletocik zastosowany do spódniczki, kapeluszek ze słomy Brukselskiej, przybrany aksamitką czarną; z wierzchu rusza z materji jasno szafirowej, podpięcie złożone z takichże samych kwiatków. Szarfy czarne jedwabne.

Ubranie pięcioletniej dziewczynki. Sukienka biała muszlinowa, naszyta nad obrębkiem aksamitką pasową, ułożoną w zakładki; dwa rzędy odwrócone w górę tworzą jakby tunikę. Staniczek marszczony w środku, przybrany aksamitką. Rękawki krótkie bufowane. Brzegiem u rękawków i u wykroju stanika, dana wązka falbanka, dziergana bawełną pasową. Kapeluszek słomkowy, przystrojony czarną i pasową aksamitką. Trzewiczki pasowe safjanowe.

Ubranie trzeciej. Suknia *poil de chèvre lilla*, naszyta w zęby wstawką gipiurową. Pomiędzy zębami idą guziki otoczone wązką marszczoną gipiurą. Ten sam garnirunek ale cokolwiek węższy, na ramionach i na zakończeniu rękawów u ręki. Kapeluszek włosiany w drobną kratkę, przybrany aksamitką fioletkową, podpięty węzłem aksamitnym, na warkocz spada barbka blondynowa. Szarfy ze wstawki fioletkowej.



Pani Cezarynie Kra. w Litynie. Kompletu żadanego przez Nią z r. 1860 przesłać nie możemy, gdyż z tego roku Tygodnik wyczerpany został. Mappa Europy serja 1 wyszła, i takowa przesłana Jój została, następne jeszcze nie wyszły.

Pani Michalinie Bara: w Żytomierzu. Koperta do pism tygodniowych półrocznie wynosi rs. 1 do pisma codziennego rs. 2, i dlatego należy się nam jeszcze złp. 1 gr. 20.

Pani Wiktorji Rodzie. w Pyldzie. Tygodnik Mód prenumerować można tylko półrocznie, do prenumeraty więc na bieżące półrocze należy się złp. 4 gr. 5, o nadanie których upraszamy.

Pani Z. List odebraliśmy dość późno fotografie natychmiast po odebraniu wiadomości przesłaliśmy.

Pani Gal. w Horodku. Ampułki stosownie do wielkości takowych i roboty kosztują od złp. 13 gr. 10 do 33 gr. 10. Kopją kwitu wyjąć można we właściwej ekspedycji pocztowej złotych 20 nie odebraliśmy od wiadomej osoby.

Pani P. Ostrow. w Bogu. Do kupna siatki i kapelusza dołożyliśmy złp. 4 gr. 26.

Pani Ludwi. Koper. Paletocik kosztować będzie złp. 66 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.



2.

Koszula nocna



3



Parawanek dla dzieci od 13. do 3 lat

Koszula dziecienna



TYGODNIK MÓD
w Warszawie

